

Adam Wlaryga Minieski.

# Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

18

— Panno Heleno — przerwał wreszcie Ludwik milczenie — czy pamięta pani naszą pierwszą rozmowę, wtedy, przy Błoniach?

Hela skinęła głową.

— Widziałam, że pani wtedy była bardzo smutna... Pani wogóle często bywa smutna... Ale wówczas pani płakała nawet... O! Niech pani nie zaprzecza... Widziałam... Jeżeli to, o co zapytam, wyda się pani zbyt śmiało, to proszę niech pani wybaczy i nie odpowie... Ja jednak zapytam... Dla czego pani wtedy płakała?...

— Mogę panu na to odpowiedzieć... Wspominałam już o tem, że moje stosunki rodzinne pozostawiają wiele do życzenia... Miałam wtedy przykre zaiscienie z matką... i szłam na Błonia, aby się wypłakać w samotności... Beksza ze mnie czasem — uśmiechnęła się trochę z przymusem.

— Ach! Tak — odezwał się z ulgą Rażycki — to tylko ty!...

Hela podniosła na niego zdziwione oczy.

— A pan myślał, że...

— Powiem pani szczerze. Sądziłem, że to ktoś bardzo pani drogi... bardzo kochany... inaczej kochany niż matka... rozumie pani, wyrzucił pani przykrość i dlatego pani płacze...

Dziewczyna nśmiech ęła się smutnie.

— O, nie! Dalekie były takie myśli odemnie wówczas...

— Wówczas — podchwycił Ludwik — ale przedtem... dawniej... a może potem... Czy pani kochała już?...

Chwila milczenia naprężonego oczekiwania.

— Tak, kochałam. — odpowiedziała jakimś głuchym głosem.

Ludwik odwrócił trochę głowę, aby nie widziała, że pobał...

— Więc... dlaczego?...

— Dlaczego nie kocham już? Ach! Panie Ludwiku, gdyby pan wiedział...

— Czy on... nie kochał pani?...

— Ach! Nie... daleko gorzej...

— Czy może był żonaty?...

— I to nie... Nie chcę, żeby się pan gubił w przypuszczeniach... Jeżeli pan ciekawy, to opowiem panu tę historję, której nie opowiadałam dotychczas nikomu, oprócz Kornelce Witowtównie... Ale niech pan przegłusze się na to, że usłyszysz coś strasznego, na co się dusza wzdryga...

— Sądźmy. — szepnął Ludwik, wskazując wielki, płaski, zielskim obrosły głąz przydrożny.

Hela poślu z ię usiadła.

— Miałam wtedy niespełna lat ośmnaście — zaczęła drżącym lekko głosem — i głowę pełną dął... Marzyłam o pracy dla Polski, rwałałam się do czynu... Zapisalam się do stowarzyszenia młodzieży, które miało przygotowywać walkę o niepodległość... Co miało przygotowywać walkę o niepodległość... Co prawda, więcej tam było gadania i politykowania, niż istotnej roboty, jak to zwykle u bardzo młodych i niedoświadczonych, ale w sercach paliły się szlachetne uczucia... Tam poznałam jego... Jak się nazywał, mniejsza o to... Obym mogła wymazać to imię z mojej pamięci... Zresztą on się właściwie nazywał inaczej... Był jednym z tych, którzy najpiękniej, najgoręcej przemawiać umieli... A przemawiał często i na wiecach publi z ych i na zebraniach politycznych... Porywał wszystkich swoją wymową, bo zawsze najbardziej przekonujące znajdował argumenty...

I do każdej najniebezpieczniejszej pracy konspiracyjnej chciał przyłożyć rękę... A jaki był uczynny, usłużny... Jeżeli któryś z kolegów był w pot z bie, on zaraz sam zapraszał się z pożyczką, jeżeli ktoś z Królewaków pstrębował paszportu, aby przebyć granicę — zawsze umiał się wystarać... To też lubiany był i podziwiany ogólnie... Raz, co prawda, słyszałam, jak medyk Wroński, starszy już człowiek, który w życiu rozmaite przebył koleje, mówił o nim: „Nie podoba mi się ten... Mięsza się, jeżeli mu nagle i niespodzianie spojrzeć prosto w oczy. „Ale Wrońskiego zakrzyczano, a ja tylko pogrdliwie wzruszyłam ramionami... Bo ja wierzyłam... ja wiedziałam w nim promiennego rycerza wolności, który walczył o lepsze jutro!... Och!...

Z niemi dziewczyny wdobył się jakiś głuchy jęk... Hela urwała, twarz ukręciła w dionach, a rumianki wysunęły się jej z rąk i rozsypały się po trawie.

— No i cóż dalej? — pytał wzruszony Ludwik —

To był bardzo zły człowiek... To był jakiś zbrodniarz, prawd?!

Gorzej niż zbrodniarz, to był zdrajca, szpieg, opłacany przez „ochranę!... Czy może pan pomyśleć sobie coś potworniejszego?.. Badałbym była ogółu hta i oniemiała, zanim go poznałam... Bo może ja nieświadomie, przez głupotę moją zaszkodziłam komu... On tak zręcznie umiał wypytwać mnie o różne rzeczy, o rozmaitych znajomych, kolgów, kol zanki!... O!h! Panie Ludwiku, kiedy sobie to przypominę, to wstręt zbiera mnie do samej siebie... Tak być głupią, tak wstrętnie głupią!...

— Panno Heleno! Niech się pani uspokoi — szepnął współczująco, serdecznie Ludwik — toż nie pani wina... Nie panią jedną oszukał... Tacy ludzie bywają szalenie sprytni... No i jak się to wydało, kim jest właściwie ten pan?...

— Już od pewnego czasu wśród naszych kolleżeńskich szły dziwne szept... Ktoś zwrócił uwagę, że paszporty, o które stara się on, mają dziwnego „pecha“... Kto z nich ko zysta „wysypuje się“... Ten i ów zaczynał się dziwić, skąd on bierze tyle pieniędzy, bo istotnie pożyczal na prawo i na lewo, ubierał się elegancko, jadał w pierwszorzędnej restauracji i bywał w kawiarniach, w teatrze...

Pamiętam, że nawet jedna z koleżanek ostrzegła mnie, abym była ostrożną i unikała jego towarzystwa, bo całą na nim przykre podejrzenia... Ja wzgardziłam tą przestrogą z oburzeniem i gniewem... Ufiałam mu... Uderzyło mnie to jednak, że w rozmowach ze mną okazywał niezwykle jakieś zdenerwowanie i usilnie nastawał na to, abyśmy się „fityalnie“ zaręczyli... Ja trochę instynktem wiedzioną, a trochę z bojaźni przed rodzicami, odwlekałam te zaręczyzny... No i wreszcie policya położyła kres wątpliwości! Dalszy ciąg tej historii nalezy do aktów sądowych! Może pan nawet domyśla się, kto to był, boć głośno było o tej sprawie... A e co ja przecierpiałam wtedy...

— Biedna, biedna panno Heleno... — szepnął Ludwik — Niech pani już nigdy nie mówi o tem z nikim... Niech pani stara się zapomnieć o tej ohydzie!...

— O, gdybym mogła, żelazem rozpalonem wypaliłabym to wspomnienie!... O! tego czasu załamało się coś we mnie... Usunęłam się od koleżeńkiego życia, od pracy społecznej... Przestałam wierzyć w szczęście...

— Nie! — wybuchnął Rażycki — Niech pani tak nie mówi!... Czyż dlatego, że pani na swej drodze spotkała wyjątkowego łotra, to życie pani miało być podjęte!... N dyl! Nowe, wielkie uczucie zatrze chodne wspomnienia!...

— Mnie się zdaje, że chyba nie... — szepnęła Hela, ale jakoś bez przekonania.

A ja jestem pewny, że tak!... — powiedział Ludwik sławem despotycznym tonem.

Ujął rękę Heli i uwieził ją w swojej.

— Panno Heleno! Z szczerą tak wielką tak niezwykłą, dziękuję! Niech pani wierzy, że umiem ją ocenić!... O jedną rzecz poproszę panią... Pani przestanie myśleć o tamtym — będzie się starała zapomnieć — dobit?... Pani będzie weselszą — czy dobrze, panno Heleno...

Mówił bardzo cicho, szepem niemal, ale w szepcie tym czuły się tony mocne i gorące.

Ręka dziewczyny wysunęła się z jego dłoni, powoli, miękko.

Hela milczała chwilę.

— Dobrze... — odpowiedziała wreszcie równie cicho.

— Dziękuję...

Nagle zerwała się i zaczęła się śmiać zbyt głośno i nienaturalnie.

— No, dosyć tych rozczulań, bo się rozmazgają zupełnie!... A tośmy się zagadał!... Już prawie ciemno...! Chodźmy, chodźmy prędzej!...

— — — — —

Ludwik powrócił do domu w doskonałym humorze, rozpromieniony, z sercem, rozkołysanym radośnym marzeniem. W takim usposobieniu pragnął widzieć wokół siebie same wesołe, zadowolone twarze, to też uderzyło go to niemiłe, że Józia przy kolacji siedzi cicha, smutna, zaszępiła i nie odzywa się wcale.

— Cóż to panna Józia dzisiaj nie w humorze? — zwrócił się ku niej.

— Nie wszystkim zawsze może być tak wesoło, jak panu. — burknęła dziewczyna.

— No, cóż się stało? Czy panią główka boli, czy może Michnik był nie rzecny?!. — próbował Ludwik żartować, ale widząc, że Józia napływają łzy do oczu, rzekł już zupełnie poważnie:

— Nie! Pani ma donarawdy dzisiaj jakieś zmartwienie... Niechże je pani wypowie... Może coś poradzimy. Jest pani przecież pomiędzy przyjaciółmi...

Józia nie odpowiedziała, ale na ciemnych jej rzęsach zawisły jasne krople łez.

Teraz dopiero oboje Walczakowie zwrócili na nią uwagę. Aniela wpadła się badawczo w zmienioną twarz przyjaciółki.

— Tobie coś jest, Józio!... Przed kilku godzinami byłaś tak wesoła, śpiewałaś i śmiałaś się, aż cię w całym domu słychać było... A teraz nagle... Co się stało?... Czyś może wieczorną pocztą dostała jakiś list?...

— Tak... od tatusia... — odpowiedziała cicho Józia.

— Oj, te listy od twojego ojca!... No, cóż tam nowego?

Józia wyjęła z kieszeni fartuszka list i podała go Aniela.

— Masz... czytaj... Nie zawiedły mnie przecucia...

Aniela szybko przebiegła wzrokiem niedugi list i zmarszczyła brwi z widocznym niezadowoleniem.

— Cóż pisze pan Maliniewicz? — zapytał Walczak.

— Czy można powiedzieć, Józio?

— Naturalnie. To przecież żadna tajemnica, a ja rady życzliwej potrzebuję...

— Ojciec donosi Józio — zaczęła Walczakowa — że o jej rękę oświadczył się jakiś profesor Stobiński... Pan radca go przyjął, bo uważa go za odpowiedniego męża dla Józii... S u h ma się odbyć w niedługim czasie, naturalnie, jeżeli się Józia na to zgodzi... To jest, tego ostatniego z strzeżenia zapomnieli pan Maliniewicz dodać pewnie przez pośpiech lub przez oztargnienie...

— Oj! Nie przez pośpiech, ani przez roztargnienie! — westchnęła Józia.

— Co to za Stobiński? — zapytał zaciekawiony Ludwik — Panno Józio, czy to przypadkiem nie ten, który wygląda jak wymoczony w beczce śledź i zwija się, jakby był z gumy, a'bo z gutaperki?...

— Ten sam! Tylko o oczach pan zapomnieli... Tak mu się błyszczą jak kotowi, kiedy się czai na mysz!... Brr! Zimno mi się robi, kiedy go sobie przypominę...

— Więc to pani konkurent? — rzekł Ludwik — Teraz rozumiem...

— Co pan rozumie?

— Ach nic... Przypomniałem sobie tylko jedną rozmowę z panem Stobińskim, bo i ja miałem tę nieprzyjemność, że go poznałem... Istotnie, wstrętna kreatura!... Za też to ojciec wybrał pani takiego... Biedna panno Józio!... — mówił ze szczerem współczuciem — Ależ to niepodobna, żeby pani poszła za niego!...

— No! Chyba... — wybuchnęła Józia — Ale co ja zrobię, jeżeli ojciec się uprze?!

— Naturalnie — zawołała Walczakowa — że niema mowy, aby Józia szła za mąż za tego pana Stobińskiego, jeżeli nie tylko nie kocha go, ale wprost czuje do niego antypatyę!... Przecież ojciec nie będzie cię przymuszał!... Wprawdzie list jest pisany w tonie stanowczym i w ten sposób, jakby to już była rzecz zdecydowana i przesądzona, ale jeżeli wytłumaczysz oicu, poprosisz...

— Moja Aniela — powiedziała bardzo pośpiesznie Józia — uż raz mówiłam ci, że nie znasz mojego ojca!... On tam dużo będzie zważał na moje zdanie i sympatyę... Dotychczas tatuś nie pozwalał nawet mówić przy mnie o małżeństwie, a teraz tak pośpiesznie, jakby się paliło, chce mnie wypchnąć!... Widocznie ma jakiś obmyślony plan i od niego nie odstąpi, o nie... Jeżeli się opre, to mnie ojciec zamknie na jakiej klasztornej pensji, albo wypędzi z domu... I co ja wtedy zrobię? Gdzie pójdę? Przecież ja właściwie niczego nie nauczyłam się, nic nie umiem... — dokończyła ciszej, jakby z zawstyżeniem, uświadamiając sobie swoją nieudolność.

— Ależ ty wpadasz w ostateczności, Józio — rzekła Walczakowa — Twój ojciec nie okaże się przecież takim tyranem i dspotą!... Pamiętasz, jak to było w Pradze? Ostatecznie dał się ułagodzić i przejednać!...

— Tak! Tobie i pani Winnickiej, ale mnie napewne nie będzie chciał słuchać!... J szcze dobrze, że tutaj jestem i mogę się was poradzić, ale, jeżeli tatuś każe mi zaraz wracać do Krakowa, to przepadłam!... Chyba — dodała błagalnym tonem — żebyś ty, Aniela, napisała... Tatuś zawsze z takim uwielbieniem, z takim szacunkiem odzywa się o tobie!...

— Czy ja wiem... — zaczęła wahając Aniela, ale przerwał jej mąż...

— Nie, Aniela, to nie ma sensu... Przecież pan Maliniewicz i panna Józia to nie małe dzieci, którzy trzeba pilnować, żeby sobie noska nie powalały... Twoje wmieszanie się wyglądałoby trochę na intrygę... Pan Maliniewicz słusznie mógłby cię posądzić, że podniecasz jego córkę do nieposłuszeństwa